

James Goodwin



Borneo

Tytuł orygnału: *Borneo*

Tłumaczył: Zbigniew Zarzycki

Redaktor: Andrzej Kamiński

© 1997 by James Goodwin

© 2020 Espadon Publishing Sp. z o.o.

Skład i łamanie: Espadon Publishing Sp. z o.o.

ISBN 978-83-60786-39-0

Wydawnictwo Espadon Publishing Sp. z o.o.

Warszawa

Książka powstała jako wspólne wydanie Wydawnictwa AiB
oraz Espadon Publishing Sp. z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone

James Goodwin

Borneo

Przekład: Zbigniew Zarzycki

ESPADON PUBLISHING
W A R S Z A W A 2020

[Kup książkę](#)

1

Zapowiadał się kolejny marny dzień, pracowity i męczący. Po pierwsze, był to piątek, a piątki zawsze są takie, a po drugie, połowa personelu była nieobecna z powodu grypy. Prawdziwej lub symulowanej.

Tego ranka po przebudzeniu się stwierdziłem, że temperatura w pokoju czyni go miejscem odpowiednim raczej dla pingwinów niż ludzi. Przez chwilę zastanawiałem się, czy pod jakimś pretekstem nie zostać w domu. Bawiłem się tą myślą, chciałem to zrobić i... nie mogłem. Zresztą nigdy bym się na coś takiego nie zdobył. Zbyt głęboko wrosły w żyzną glebę młodzieńczej żarliwości zasady, wbijane mi do głowy przez nauczycieli w szkole, później zaś przez sierżantów w wojsku. W rezultacie ich zabiegów wszedłem w dorosłe życie obciążony gmatwaną wątpliwością, zahamowań i zbędnych konwenansów.

Nauczono mnie, że kobiety należy puszczać przodem, oraz przytrzymywać im otwarte drzwi. I, do diabła, robię to do dziś! Tymczasem wspomniane kobiety, świdrując mnie bezczelnym spojrzeniem, pchają się ze swoimi pakunkami, a co druga depcze mi po palcach. Powiedziano, że dobry dowódca, zanim weźmie do ust choć kawałek chleba albo kroplę wody, upewnia się, czy jego podwładni są najedzeni i mają gdzie odpocząć. No i postępuje dokładnie tak, a tymczasem wspomniani podwładni, wygodnie urządzeni i nażarci do syta, dopychają się tabliczką czekolady i, zapalwszy papierosa, patrzą na ciebie wzrokiem, który mówi: ale frajer!

Należę do generacji posługującej się jeszcze słowem „obowiązek”. To odchodząca generacja, nie mówiąc już o tym, że ostatnia, która rozumie czym naprawdę jest obowiązek. Kiedy jednak wpojono człowiekowi to pojęcie, działa ono skuteczniej niż jakikolwiek budzik, alarmując i zmuszając do angażowania się w sprawy, z którymi nie chciałby mieć nic wspólnego. I to jest chyba istota sprawy.

Tak więc rankiem tego piątku wygrzebałem się z łóżka, ogoliłem (prawdziwy żołnierz jest zawsze schludny) i przygotowałem solidne śniadanie (zdarza się, że żołnierze mdleją na apelu, bo przegapili śniadanie). Włożyłem wyczyszczone do połysku buty i odprasowane spodnie, spojrzałem przez okno, założyłem nieprzemakalny płaszcz i wyszedłem z domu, by złapać autobus, który – jak zwykle, kiedy padał deszcz – spóźnił się, a w dodatku był przepełniony. Stałem więc, zirytowany, wśród równie zirytowanych współpasażerów i stałem się uporządkować w myślach swoje sprawy.

Jeśli wszystko, co dotychczas powiedziałem, mogłoby sugerować, że jestem wojskowym, to bardzo przepraszam. Jestem raczej rozgoryczonym byłym oficerem, czego ślady noszę na sobie i w sobie, czyli – można by powiedzieć – na ciele i na duszy, a tego chłodnego, dżdżystego ranka byłem zwyczajnie w drodze do pracy, do banku, gdzie miałem przedstawić swoją ostateczną decyzję w pewnej istotnej sprawie. Dwa dni wcześniej wezwał mnie do siebie dyrektor i powiedział, że wobec odejścia na emeryturę szefa działu, ja, jako najstarszy stażem, obejmę jego stanowisko, z czym wiązała się podwyżka uposażenia o wysokości tysiąca funtów rocznie. Woodcraft, to znaczy dyrektor, oznajmił to z taką miną, jakby przyznawał mi tytuł szlachecki. Był też zaskoczony, żeby nie powiedzieć zgorszony, moją prośbą o parę dni do namysłu. On sam nigdy nie musiał się namyślać w podobnych sytuacjach; bo też awansował rzadko i najczęściej w formie przejęcia stanowiska po kimś, kto odszedł w ten czy inny sposób. W przekonaniu Woodcrafta pozycja szefa działu to co najmniej dwa szczeble w górę na drabinie sukcesu życiowego. Ja natomiast widziałem sprawę nieco inaczej. Większość personelu mojego działu stanowiły dziewczęta. Niektóre polowały na mężów, inne były zaręczone; kilka z nich to młode mężatki i tyleż w ciąży. Owszem, sympatyczna paczka, ale ich zainteresowanie bankowością jako kierunkiem przyszłej kariery było raczej wątpliwe. Z radością i bez jakichkolwiek skrupułów wykorzystywały przysługujące im urlopy, zwolnienia czy inne okazje do wzięcia wolnego dnia.

– Będzie pan odpowiedzialny za cały personel działu, panie Faxtennee, rozumie pan... Otóż to! Rozumiałem doskonale.

– ...I jestem przekonany, że mogę na panu polegać. Wierzę, że zatroszczy się pan o dyscyplinę służbową pańskich podwładnych, jak i o ich problemy życiowe. Sam pan widzi, że powierzamy panu bardzo odpowiedzialne stanowisko. Ale też w ciągu ostatnich dziewięciu lat wykazał pan...

Głędził i głędził, a ja zacząłem rozpamiętywać te minione dziewięć lat. Myślałem o nich i przeklinałem je od samego początku aż po dzień dzisiejszy. W końcu obiecałem Woodcraftowi, że zastanowię się i przekażę mu swoją decyzję. Wiedziałem, oczywiście, że wyrażę zgodę. Ale myśl o podjęciu tego kroku była dla mnie nad wyraz odpychająca. Wiedziałem bowiem i to, że jeśli na dobre pozwolę przypisać się do tego szacownego przybytku bankowości i powiem: „Tak jest, dziękuję, panie dyrektorze”, będzie to oznaczało koniec George’a Faxtennee. Tak się jakoś składało, że lata płynęły, a ja ciągle myślałem o swojej pracy jak o czymś chwilowym, dorywczym, dzięki czemu miałem co jeść, w co się ubrać i mogłem czekać, aż pojawi się zajęcie lepsze, ciekawsze, bardziej do mnie pasujące. A teraz masywne drzwi banku miały zatrzaskać się za mną na zawsze. Będę uwiązany do bankowego kontuaru, skazany na wieczne utarczki z podwładnymi, zaczynające się od typowego: „Nie, Judith, nie mogę ci dać wolnego w czwartek”. Przy czym człowiek jest świadomy, że ta cholerna Judith i tak weźmie sobie wolne w czwartek, a ktoś będzie musiał odwalić za nią jej robotę. Oto moja praca: „ważkie zadanie” wypełniane z „poczuciem odpowiedzialności”. Tak by powiedział Woodcraft.

W niedalekiej przyszłości wielokrotnie przypominały mi się te moje rozmyślania.

Jechałem więc autobusem i wtedy właśnie miało miejsce to pierwsze zdarzenie. Stojący obok mnie niepozorny staruszek nagle zemdlął. Bez żadnego wstępu, po prostu klapnął na podłogę między mokre buty współpasażerów. Zawołałem na konduktora, żeby zatrzymał autobus, podniosłem gościa i usadowiłem na zwolnionym przez kogoś miejscu. Był błądy, oddychał trochę nierówno, ale po minucie, jeszcze oszołomiony, zaczął przychodzić do siebie. Podsunąłem konduktorowi myśl, żeby zatrzymał autobus przy najbliższej budce telefonicznej i zadzwonił po pogotowie.

– Jeszcze parę przystanków i będziemy koło szpitala – odparł. – Szybciej niż pogotowie.

Tak też się stało. Przed szpitalem wzięłem staruszka na ręce i wniosłem do środka. Ważył niewiele. Jak to mówią – tyle, co mokra gazeta. Na oddziale szybkiej pomocy zatrzymał mnie na kilka minut, żebym opowiedział lekarzowi, co się wydarzyło. Pacjenta podłączono do EKG, a ja mogłem ruszyć w dalszą drogę, do banku. Wiedziałem już, że spóźnię się co najmniej pół godziny i bardzo mnie to zirykowało. Punktualność była bowiem jedną z tych zasad, którymi karmiono mnie przez wszystkie minione lata. Jakoś nie mogłem się od niej uwolnić. Kiedy więc wysiadłem z autobusu i ruszyłem ulicą, kierując się ku otwartym drzwiom banku, nie byłem w najlepszym nastroju.

Już na jezdni musiałem się na chwilę zatrzymać przed niebieską furgonetką sygnalizującą zamiar skręcania w prawo, w boczną uliczkę przylegającą do banku. Czekala, aż pojawi się przerwa w strumieniu pojazdów jadących z przeciwnika; czekałem więc i ja. Stałem, gapiąc się na furgonetkę i mimowolnie przeslizgnałem się wzrokiem po skropionej deszczem szybie i siedzącym obok kierowcy, dziwnie wyglądającym mężczyźnie, a wyglądał dziwnie, bo jego nieco bezkształtna twarz o niewyraźnych rysach przypominała niedokończoną, pozbawioną szczegółów rzeźbę. Wreszcie furgonetka ruszyła. Za nią kilka innych pojazdów skręcających w prawo. Minęło kilka sekund, zanim uświadomiłem sobie, co właśnie wiedziałem. Tę niezwykłą bezkształtność twarzy spowodowała wciągnięta na głowę pończocha!

Tymczasem furgonetka zatrzymała się w bocznej uliczce obok banku. A więc napad! Przemknąłem między samochodami na środek jezdni i tam, udając, że wypatruję luki w ciągu pojazdów, kątem oka obserwowałem podejrzane auto.

Wyskoczyło z niego czterech mężczyzn. U dwóch dostrzegłem trzonki oskardów, dwaj mieli chyba dubeltówki. Z rury wydechowej wydobywały się spaliny, co znaczyło, że silnik pracuje, a w furgonetce pozostał jeszcze piąty. Nie biegli. Szli w stronę wejścia szybkim i zdecydowanym, ale spokojnym krokiem. Trzej weszli do środka, czwarty stanął przy drzwiach zwrócony twarzą do ulicy. Broń trzymał płasko przy sobie, w poprzek brzucha, z kolbą przy prawym biodrze. Przejechało między nami kilka samochodów, potem ciężarówka i autobus linii podmiejskiej. Ten ostatni zatrzymał się przede mną, blokując widoczność. Korzystając z okazji kilku pasażerów postanowiło wysiąść. Obszedłem autobus od tyłu, żeby dołączyć do wysiadających. Starałem się nie patrzeć na drzwi banku i zachowywałem się tak, jakbym zamierzał przeciąć boczną uliczkę. Tego z dubeltówką należało zająć od prawej, od strony kolby, utrudniając mu tym szybkie zwrócenie broni w moim kierunku.

– Mamusiu! – rozległ się nagle zdziwiony, a jednocześnie alarmujący dziecięcy głos.

Byłem dwa czy trzy metry od bandyty, zwrócony bokiem do niego. Zatrzymałem się na krawędzi chodnika przy tylnych drzwiach niebieskiej furgonetki. Posłyszałem wściekle: – Zamknij się! – i wiedziałem, że choćby na bardzo krótko, jego uwaga będzie skupiona na dzieciaku i jego matce. Oparłem się o bok wozu, odepchnąłem dla przyspieszenia obrotu, zrobiłem dwa szybkie kroki i rzuciłem się naprzód. Ćwiczono mnie niegdyś, że ma to być chwyt „lufa w górę, kolba w dół”. Zdążyłem zauważyć, że ta cholerna strzelba przerażająco szybko obraca się w moją stronę; w momencie, gdy pod palcami czułem już dotyk metalu, z piekielnym hukiem wypaliła tuż przy moim uchu. Ale strzał był spóźniony. Ja byłem szkolony w tego typu zabawie, a on – nie. Broń znalazła się w moich rękach i posłużyłem się nią tak, jak towarzysze Robin Hooda posługiwali się kijem: cios jednym końcem ku górze i zaraz drugim w dół, czyli lufami w głowę i natychmiast kolbą w okolice nerek. A potem skok pod ścianę, która dawała osłonę.

– Jack?! – dobiegł mnie pytający krzyk z wnętrza, powtórzony dwukrotnie i zabarwiony strachem. – Jack? Jack!!

A więc już wiedzą. Może nawet widzą, jak Jack, półprzytomny, złamany bólem, czołga się niezdarnie po chodniku. Nastąpił moment ciszy, ale już wybiegali prześcigając się w drzwiach. Nie mogłem wiedzieć, czy w lufach jest drugi nabój, nie miałem też czasu na sprawdzenie. Poza tym, żeby strzelać z broni śrutowej na ruchliwej ulicy, to niezależnie od sytuacji, trzeba być ciężkim durniem. Kucnąłem więc, zamierzając machnąć z przysiadu strzelbą, jak cepem, po zbliżających się nogach. Gdybym trafił, poszłyby czyjeś golenie albo rzepek kolanowe.

Oprzytomniałem w karetce i stwierdziłem, że nic nie widzę. Ciemność, mdłości, nieznosny ból głowy, przyćmione czerwone i zielonkawe rozbłyski pod powiekami, a gdzieś obok spokojny głos z londyńskim akcentem.

– Trzymaj się. Za minutę będziemy na miejscu.

– Nic nie widzę!

– Bo masz na oczach opatrunek. Leż spokojnie!

Spokojnie to spokojnie. Dobrze wiedziałem, że uszkodzone oczy muszą być nieruchome. Słyszałem sygnał karetki i wyczuwałem jej szybkość; zakołysała się, zwolniła i stanęła. Wyniesiono mnie, ułożono na stole; ukłucie igły gdzieś na grzbiecie dłoni. Znane rzeczy. W pewnym stopniu nawet uspokajające, bo po tym wszystkim ból powinien ustąpić. Ale oczy ciągle bolały i trochę spanikowany odpłynąłem w nieświadomość.

Potem przebijanie się przez zamęt towarzyszący wychodzeniu z narkozy, wysiłek, żeby sobie przypomnieć, przypomnienie i powrót paniki.

– Moje oczy!

Młody kobiecy głos:

– Niech pan spróbuje jeszcze zasnąć, panie Faxtennee.

Ton głosu łagodny, kojący. Kiedy jednak jesteś przerażony możliwością utraty wzroku, ton w zamierzeniu kojący ma działanie dokładnie przeciwne.

– Co z moimi oczami?

– Chwileczkę. Zaraz poproszę doktora.

Wzrastająca panika. Już wcześniej znałem to uczucie. Uniesiona do twarzy dłoń natrafia na bandaż i tampony.

Odgłos kroków i jakiś inny głos, również kobiecy. – Proszę zostawić w spokoju opatrunki!

Głos jest ostry, rozkazujący.

– Co – z – z – moimi – cholernymi – oczami?

Cisza, a więc wahanie. Boże! Ona nie może się zdecydować, jak ma odpowiedzieć, jakich słów użyć! Pewnie chciałaby oszczędzić mi... Wreszcie: – Przypuszczamy, że wszystko w porządku.

– Przypuszczamy?

– Wierzymy – odpowiedziała. – Wierzymy, że wszystko w porządku. Nie jesteśmy pewni, ale wierzymy.

Nie jest to dużo. Czuję jednak, jak ogarnia mnie nieśmiała ulga. Niepewność jest odrobinę lepsza niż pewność bez nadziei.

– Kiedy będzie wiadomo?

– Dość szybko. Bardzo pomoże sen.

– Jakie są szanse?

– Szanse przemawiają na pana korzyść. Proszę to połknąć. Tabletki i szklanka z wodą.

Później.

Ta sama pani doktor tłumaczy mi, szczegółowo: – Chodzi o to, że na skutek uderzenia mógł zostać uszkodzony nerw wzrokowy. Odniósł pan dość poważne obrażenia. Same rany są powierzchowne, ale gałki oczne są silnie nabrzmięte, a powieki całkowicie zapuchnięte.

– Mówi pani „rany”? – zauważyłem.

– Tak, dwie.

– Obie na oczach?

– Niestety, tak. Ale są czyste i pozszywane. Powiedziałabym, że pozszywane bardzo starannie.

– Pani zszywała?

Poznaję po głosie, że się uśmiecha. To dobry znak.

– To moja profesja i hobby. Pozostaną blizny. Nieznaczone i nieszywane. Raczej interesujące, jeśli zależy panu na opinii kobiety.

– Jak szybko to się wyjaśni?

– Jeszcze za wcześnie, panie Faxtennee. To kwestia kilku dni. Dużo zależy od tego, jak zachowają się obrzęki. Jeśli to panu coś pomoże, jest pan kimś w rodzaju bohatera.

– Nie, to nie pomaga – powiedziałem. – Czy złapano ich?

– Trzech. Jeden ze złamaną kością strzałkową i jeden z paskudnie stłuczoną nerką. Trzeci bez uszkodzeń. Wygląda na to, że jest pan dość niebezpieczny.

– To raczej odruch. Cała zasługa, jeśli już, przypada temu, kto mnie szkolił. Był szefem kompanii, sierżant Jones.

– A pan był gwiazdą wśród jego uczniów?

Pomyślałem o starym Jonesie. Zginął na Cyprze od miny-pułapki.

– Nie – powiedziałem. – Wyszkolił setki takich jak ja. Proszę mi powiedzieć o tych stłuczeniach.

Wyjaśniła, że ciało reaguje na uszkodzenia zwiększając dopływ określonych płynów ustrojowych, które umożliwiają odnowę lub naprawę naruszonej tkanki. Stąd często najsluszniejszym postępowaniem jest zostawienie, jeśli to możliwe, procesu gojenia się samemu organizmowi. Na koniec spytała, czy jestem w stanie przyjąć wizytę.

– Policja?

– Tak.

– Chyba nie mam wyboru?

– Mogłabym ich powstrzymać przez pewien czas.

– Nie trzeba. Mogę zobaczyć... to znaczy mogę porozmawiać z nimi.

– Niepotrzebnie pan poprawiał. Zobacz ich pan. Tyle że trochę później.

Policjantowi, kiedy już przyszedł, złożyłem oświadczenie, zawierające wszystko, co zapamiętałem o gościu z dubeltówką i, od pewnego czasu, uszkodzoną nerką. Opisałem furgonetkę i zawstydydziłem się, kiedy zapytał mnie o numer, bo nawet nie zerknąłem na tablicę rejestracyjną.

– Czy rozpozna pan tego człowieka?

Zagalopował się z tym pytaniem, ale sam się połapał. – Przepraszam pana. Miałem na myśli...

– Jeśli będę mógł, to rozpoznam.

– Kiedy mogłoby to nastąpić?

– Proszę spytać o to lekarza.

Kiedy odszedł, zjawił się Woodcraft i zaczął po swojemu.

– Wszyscy najmocniej eee... najbardziej... Oczywiście... pełni podziwu dla pana, yyy... pańskiego... mmm, no tak. Dyrekcja wysoko ceni i bardzo... tego... Zatroskana pańskim... no... że pan...

Nie przeszkadzałem mu, ale i nie pomagałem. Jak większość dyrektorów banków, stosując taktykę „kija i marchewki” umiał sobie radzić tylko z pierwszym jej członem. Przypominał mi nawet, w tym swoim irytującym stylu, o Obowiązującym Regulaminie: „pracownicy nie powinni podejmować nieuzasadnionego ryzyka w obronie własności banku”. Natomiast nie spytał mnie o decyzję, którą w tym dniu miałem mu przedstawić. Oczywiście, dlatego, że kwestia mojej przydatności do dalszej pracy w banku nie była jeszcze rozstrzygnięta.

Po jego wyjściu leżałem na wznak i zastanawiałem się nad określeniem „nieuzasadnione ryzyko”. Miałem w swoim życiu, jak dotychczas, tylko dwóch pracodawców i jakże uderzająco różny był ich stosunek do sprawy ryzyka. Dla rozrywki wyobrażałem sobie dyskusję na ten temat między Woodcraftem i moim zwariowanym pułkownikiem, dla którego podejmowanie olbrzymiego nieraz ryzyka było czymś równie naturalnym, jak dla innych wrzucenie do filiżanki kawy kostki cukru. Byłem świadkiem, jak kiedyś podniósł się zza osłony worków z piaskiem i laską, którą podpierał się przy chodzeniu, powalił dwóch wrzeszczących Chińczyków, potrząsających automatami. Było to miłe wspomnienie. Jednak cała przyjemność uleciała, kiedy uświadomiłem sobie, że w konfrontacji dyrektorów banków z pułkownikami żyjącymi z emerytury, zwycięzca może być, niestety, tylko jeden.

Nie będę odtwarzać dwóch następnych dni. Byłem na wpół przekonany, że straciłem wzrok i większość czasu przeleżałem pogrążony w ponurym przygnębieniu. Zastanawia-

łem się, jak będąc ślepym i przykutym do szpitalnego łóżka znaleźć sposób na strzelenie sobie w łeb. Liczyłem mijające godziny i nienawidziłem ich, oczekując z przerażeniem nadejścia TEGO MOMENTU, a kiedy nadszedł i moje opuchnięte powieki rozchyłono delikatnie, odczułem bolesne uderzenie światła i usłyszałem, że moja pani doktor śmieje się.

Chwilę później i ja robiłem to samo. A dwa dni później otrzymałem list.

2

Nadszedł wraz z mnóstwem innych. Wieczorne gazety londyńskie używały sobie na mnie na całego. BOHATER II WOJNY UDAREMNIA NAPAD NA BANK pisał „Evening Standard”, co było informacją mylącą. Moją wojną była Korea. Dziś pamiętają o niej tylko ci pechowcy, którym przyszło w niej uczestniczyć. Następnego ranka opis napadu ukazał się we wszystkich dziennikach, w różnych wariantach. Pielęgniarki troskliwie przechowywały dla mnie wszystkie dotyczące napadu wycinki. Dziennikarze wykazali się odpowiednią pomysłowością. Szpital nie zezwolił im na wejście do środka, a bank chyba nie miał żadnej mojej fotografii. W rezultacie cała prasa posługiwała się typowym zdjęciem młodego, dziarskiego porucznika, wykonanym przed ponad dziesięcioma laty, a dostarczonym zapewne przez Wydział Informacji Ministerstwa Obrony. Ci są zawsze czujni! Publikowane historyjki też były dość przejrzyste w swojej wymowie. Według „Daily Mirror” byłem tym, „który stawiał czoło uzbrojonym bandytom z tą samą chłodną, niezachwianą determinacją, jaką wykazał wśród lodowych wzgórz Korei i jaka przyniosła mu odznaczenie Krzyżem Wojennym”. „Daily Telegraph”, jak zwykle dokładny i szczegółowy, wiedział nawet ile palców u nóg straciłem wśród tych lodowych wzgórz, a „Daily Mail” wygrzebał gdzieś dziewczynę, którą zaprosiłem swego czasu na pułkową potańcówkę. Okazało się, że pamięta mnie jako „bardzo silnego i małomównego”. Zadziwiające, że w ogóle coś zapamiętała. Po paru kieliskach była już tak zawiana, że pułkownik, surowy służbista z zasadami, sporo przed północą kazał odwiedzić ją do domu jego własnym autem. Następnego dnia zadzwoniłem, żeby spytać, jak się czuje i czy nie ma kaca. Telefon odebrała jej matka, głosem tak lodowatym, że w porównaniu z nim wzgórza Korei mogłyby być wzorem przytulnego ciepła. Zrozumiałem o co chodzi i odtąd trzymałem się z dala od ich domu. Dziewczyny więcej nie widziałem.

W wyniku tego rozgłosu listy napływały do mnie, jeśli nie całymi workami, to w każdym razie pokaźnymi paczkami. Większość z nich utrzymana była w tonie entuzjastyczno-wojowniczym i pełna emocji. Nigdy nie rozumiałem, jak ludzie mogą zadawać sobie trud pisanía takich listów do osób zupełnie obcych. Teraz dowiedziałem się, jak wielu to robi. Niektórzy mieli mi nawet za złe, że nie obróciłem dubeltówki w stronę jej właściciela i nie rozwalilem go. Ale były też listy, które sprawiły mi przyjemność: kilka od starych przyjaciół z wojska, z którymi straciłem już kontakt oraz telegram od mego zwariowanego starego pułkownika. Zawierał tylko kilka słów: „Znam ciebie i wiem, że świetnie się bawiłeś”. W pierwszej chwili uśmiechnąłem się. Później, kiedy to sobie przemyślałem, poczułem się lekko zawstydzony.

List podpisany „C. Thornton” ostro kontrastował z całą resztą. Przede wszystkim nie było w nim żadnych wykrzykników, żadnych podkreśleń. Prawdę mówiąc, przy pierwszym czytaniu nie zwróciłem nań szczególnej uwagi. Po paru dniach, dla zabicia czasu, zająłem się odpowiedzią na korespondencję i wówczas przeczytałem go po raz drugi.

Szanowny panie Faxtennee,

W doniesieniach o pańskich wyczynach „Times” podał Pana nazwisko w pełnym brzmieniu, z imionami. Zastanawia mnie, czy to możliwe, aby był Pan synem niezującego George’a Winslowe’a Faxtennee, pilota RAF-u. Jeśli się mylę, mam nadzieję, że wybaczy mi Pan moje natręctwo. Jeśli natomiast domysł mój jest trafny, mam nadzieję, że pozwoli Pan na złożenie Mu krótkiej wizyty. Wierzę, że uszkodzenie pańskich oczu, zgodnie z tym, co podają gazety, nie pozostawi trwałych śladów.

Z poważaniem

C. Thornton

Wyraźne, czytelne, odręczne pismo. Gładki, biały papier listowy w dobrym gatunku. List adresowany z Birmingham, bez numeru telefonu. Żadnej wzmianki o tym, dlaczego ów Thornton chce się ze mną widzieć. Żadnej też wskazówki, kim mógłby być. Byłem trochę zaintrygowany, ale nic ponadto. Mój ojciec zginął w wypadku lotniczym wkrótce po zakończeniu wojny. Miałem wówczas czternaście lat, a ojca już wtedy nie widziałem od lat sześciu. Owszem, płakałem po nim, ale nie powiem, żeby jego śmierć przejęła mnie zbyt głębokim żalem. Z tego co wiedziałem o nim, to znaczy z opowiadań mojej matki, które trudno by było nazwać obiektywnymi, wyłaniał się obraz trochę łajdaka i trochę oszusta. Pomyślałem więc, że być może za listem tym kryją się dawne karciane długi, zaciągnięte w jakimś klubie czy kasynie oficerskim. Zobowiązania płatnicze mają długi żywot i znane są przypadki, kiedy wierzyciele domagają się ich realizacji przez następne pokolenie. Pewnej wagi temu przypuszczeniu dodawała odległość: z Birmingham do południowych dzielnic Londynu, gdzie mieszkam, jest prawie dwieście kilometrów, a z własnego doświadczenia wiem, że ludzie nie podróżują na takie odległości bez konkretnego powodu.

Potem pomyślałem: a cóż mi to, do diabła, może zaszkodzić. Skreśliłem więc kilka słów, podałem godziny odwiedzin w szpitalu i wysłałem list. Skoro Thornton tak bardzo chce mnie widzieć, że decyduje się na podróż, to przyzwoitość nakazuje być uprzejmym. Gdyby wizyta okazała się w ten czy inny sposób nieprzyjemna, wystarczy, że odpowiednim gestem zakryję oczy dłońmi, a pielęgniarki szybciotko oznajmią gościowi, że czas odwiedzin minął.

Być może czytelnik już się domyśla, na czym polegała tajemnica Thorntona. Ale ja, mówię uczciwie, nie miałem pojęcia. Spodziewałem się starszego pana o czerwonej, rumianej twarzy, ewentualnie z sumiastym wąsem i w krawacie RAF-u. Kiedy więc drzwi mojego szpitalnego pokoiku otworzyły się i weszła nieznana mi, drobna kobieta, pomyślałem, że wskazano jej omyłkowo mój pokój.

– Pan Faxtennee?

– Tak – odpowiedziałem ostrożnie.

Zrodziła się we mnie obawa, że skoro długi karciane raczej odpadają, może się okazać, że mam, nie wiedząc o tym, odległych krewniaków.

– Nazywam się Thornton. Panna Thornton. Pisałam do pana.

Przysunęła sobie krzesło i zamierzała usiąść, ale w ostatniej chwili wstrzymała się.

– Pan się na mnie gapi, panie Faxtennee.

– Przepraszam.

– Dlaczego pan się tak gapił?

– Pewnie z zaskoczenia. Spodziewałem się raczej mężczyzny.

– Rozumiem.

Uśmiechnęła się leciutko i usiadła.

– Domyślam się, że to z powodu mojego podpisu. Zawsze wydaje mi się tak małoduszne, to zaznaczanie, że jest się kobietą.

– Wystarczy, jeśli obok nazwiska poda pani imię.

Zaczęła ściągać z dłoni rękawiczki z cienkiej, ciemnoniebieskiej kożłęczą skóry i spojrzała na mnie spokojnymi szarymi oczyma.

– Odpowiadam, z zasady grzecznie, kiedy ktoś zwraca się do mnie „panno Thornton”.

– Dobrze, panno Thornton – rzekłem, przyglądając się, jak kładzie równiutko złożone rękawiczki na kolanach obok torebki.

– Zapewne dziwi się pan – powiedziała – dlaczego napisałam do pana i dlaczego chcę z panem pomówić.

Nauczycielka, pomyślałem. Albo siostra szpitalna. Tak czy inaczej – dopust Boży. Pewnie na emeryturze. Miała na sobie dobrze skrojony niebieski kostium, wykrochmaloną białą bluzkę i niebieski kapelusz z białą wstążką. Wszystko praktyczne, poważne, schludne.

– Tak. Jestem zdziwiony.

– Jeśli jest pan tym człowiekiem, za którego pana uważam, panie Faxtennee, to szukam pana, naprawdę z niemałym trudem, od blisko dwudziestu lat. – Jej szare oczy patrzyły bystro, ale było w nich coś, jakby rozbawienie; jak gdyby przyznanie się do tego, o czym przed chwilą powiedziała, było nieco śmieszne. Po krótkiej chwili dodała: – Ale pan znów się na mnie gapi.

– Czy to panią dziwi?

– Chyba nie. Ale wołałabym, żeby pan tego nie robił. Kiedy pan przestanie, będziemy kontynuować rozmowę.

Jest przyzwyczajona do zwracania uwagi, pomyślałem.

– Na co, pani zdaniem, patrzę?

– Panie Faxtennee, jest jak najbardziej wskazane, żeby ludzie rozmawiając ze sobą, patrzyli na siebie. Ale pan nie jest wężem, a ja nie jestem mangustą. Pan dobrze wie, co mam na myśli.

Zapowiadała się miła rozmowa.

– No dobrze. Dlaczego poszukiwała mnie pani przez wszystkie te lata?

Zignorowała moje pytanie. Otworzyła torebkę, wyjęła kopertę, a z niej kartkę, którą jej posłałem.

– Pisz pan, że pański ojciec nazywał się George Winslowe Faxtennee i służył w Royal Air Force.

– Tak – odpowiedziałem. – Czy była pani jedną z jego... – urwałem nagle spostrzegłszy, że usta jej się zacisnęły. – Chciałem powiedzieć, czy pani go знаła?

I to pytanie zostało zignorowane. Najwyraźniej C. Thornton postanowiła przeprowadzić sprawę według własnej strategii, swoim zachowaniem dziękując z góry za nieproszoną pomoc.

– To bardzo niezwykła kombinacja imion – zauważyła.

– Tak, to prawda.

– Chociaż żadne z nich nie jest samo przez się niezwykle.

– I to też prawda – zgodziłem się.

Rzuciła mi spojrzenie jednocześnie karcące i władcze. Kryło się w nim przekonanie o jego skuteczności, jakby już nieraz poskramiała wzrokiem podobne wybryki. Ton jej wypowiedzi stał się twardszy.

– W Londynie, na przykład, są tuziny Faxtennee w książce telefonicznej.

– Z wyjątkiem mnie. Ja tam nie figuruję.

– Wiem, że pana tam nie ma. Zawsze sprawdzam wszystkie książki telefoniczne, jakie się ukazują.

– W Birmingham?

– Panie Faxtennee – w jej głosie pojawiło się rozdrażnienie – musi pan wiedzieć, że biblioteki publiczne mają zwyczaj kompletowania książek telefonicznych wydawanych przez Zarząd Poczty i Telekomunikacji. Sprawdzanie ich jest stosunkowo proste.

– I tak co roku?

– Naturalnie.

– Jeszcze chwila – powiedziałem – i znów zacznę się na panią gapić.

Jej brwi ściągnęły się gniewnie.

– Czy nie jest pani przypadkiem nauczycielką?

Sądzę, że było to z mojej strony posunięcie niewybaczalne, ale ten typ kobiety wyzwala we mnie wszystko, co najgorsze. Przynajmniej od momentu, kiedy wiek daje mi poczucie pewnego bezpieczeństwa.

Chęć udzielenia mi ostrej reprimendy, którą zapalała w widoczny sposób, z trudem została stłumiona. Siedziała i czekała bez słowa. W końcu to ja się odezwałem.

– Przepraszam.

Kiwnęła lekko głową.

– Trochę cierpliwości – podjęła. – Ja naprawdę muszę mieć pewność. Czy wie pan, jak powstała ta kombinacja imion?

– A pani wie? – spytałem.

– Proszę mi odpowiedzieć, jeśli pan potrafi.

– Dobrze. Mój dziadek był entuzjastą krykieta. Nawet więcej niż entuzjastą. Fanatykiem. Pochodził z Yorkshire, gdzie były i są jeszcze tysiące takich jak on. Widocznie w drużynie Anglii grał jakiś Faxtennee i mój dziadek wierzył, że to jego daleki krewny. Kiedy urodził się mój ojciec, dano mu imiona dwóch innych znakomitych graczy tamtych czasów: George – od gościa, który nazywał się George Hirst; Winslowe – od lorda Winslowe. A mój ojciec obciążył z kolei mnie tym brzemieniem.

Panna Thornton uśmiechnęła się, skąpo pokazując zęby – wszystkie miała własne, jak zauważyłem.

– Bardzo dobrze. To mi wystarczy. Czuję nawet pewną ulgę.

Otworzyła ponownie torebkę, wyjęła drugą kopertę i wyciągnęła ją ku mnie.

– Co to takiego? – spytałem.

– List – odrzekła – od pańskiego ojca.

Wziąłem kopertę do ręki, czując przebiegający po plecach lekki dreszcz.

– Ale przecież on zginął w... – bąknąłem.

– List został napisany, kiedy umierał.

Wzrok miałem utkwiony w kopertę, a jednocześnie próbowałem podjąć decyzję, jak w tej sytuacji postąpić.

– To nie jest jego pismo – powiedziałem. – To pismo pani, nieprawdaż, panno Thornton?

– On mi to dyktował.

Zrobiłem głęboki wdech i twardo spojrzałem na nią. Mnóstwo spośród otrzymanych ostatnio listów było autorstwa ludzi lekko pomyłonych. Do takich właśnie należy z pewnością ta kobieta.

– Proszę pani – zacząłem. – Samolot mojego ojca zaginął gdzieś na obszarze tysięcy kilometrów kwadratowych dżungli. Początkowo uznano go za zaginionego, później za zaginionego lub nieżyjącego. W końcu uznano, że nie żyje. W jaki sposób mógł więc napisać ten list?

– On go nie pisał, panie Faxtennee. Ja go pisałam, pod jego dyktando. Już to wyjaśniłam.

Myśl błakająca się po mojej głowie wypłynęła nagle z moich ust potokiem nieprzemyślanych słów.

– Czy pani jest spirytystką? Jakimś medium? Może przekazuje pani jakieś przesłanie z tamtego świata, zza grobu, czy coś z tych rzeczy?

– Czy pan próbuje mnie obrazić, panie Faxtennee, czy też nie potrafi pan się przyzwoicie zachować?

W jej oczach po raz pierwszy pojawił się błysk gniewu.

– Ale przecież musiało być coś takiego, nie sądzi pani?

– Rozumiem. – Podniosła się gwałtownie. – Pan jest źle wychowany, panie Faxtennee. Przydałaby się panu lekcja dobrych manier.

– Może to pani mi jej udzieli? – spytałem. Ale czułem, że chyba ma rację. Sięgnąłem dla uspokojenia po papierosa. – Jest mi bardzo przykro – powiedziałem w końcu. – Proszę, niech pani usiądzie.

– W żadnym wypadku. – Energicznie potrząsnęła głową. – Potrzebuje pan nauczki i będzie ją pan miał. Poza tym nie powinien pan palić.

– Na litość Boską!

– Dla własnego dobra!

Przy drzwiach obróciła się.

– Powiem tylko tyle – rzekła zimno. – Samolot pańskiego ojca rozbił się, ale on sam żył jeszcze jakiś czas, chociaż był ciężko poraniony. Właśnie wtedy podyktował mi ten list. Spełniłam jego wolę i swój obowiązek, dostarczając ten list jego synowi. Jeżeli życzy pan sobie wiedzieć coś jeszcze, a przypuszczam, że tak właśnie jest, może pan się pofatygować i spotkać ze mną. Jeśli wówczas będzie się pan zachowywał właściwie, prawdopodobnie powiem panu więcej.

– Proszę pani, ja bardzo przepraszam, jestem...

Ale było już za późno. Mówiłem do zamkniętych drzwi. Zacząłem kłąć. Na nią, na ogólny brak rozsądku u kobiet, a w końcu na samego siebie. Odłożyłem list, zamknąłem oczy i próbowałem zmusić się do drzemki. Ale panna Thornton nie była skłonna pozwolić mi na sen. Jej ciało mogło być w połowie drogi do dworca Euston, ale jej psyche umiejscowiła się w mojej czaszce i nie przestawała znęcać się nade mną. Pojawiła się nagle cała litania pytań, na które nie znałem odpowiedzi. Mój ojciec zaginął wkrótce po ustaniu działań wojennych na Dalekim Wschodzie, to znaczy na początku października 1945 roku. Wiem doskonale, że Borneo było od 1941 roku okupowane przez Japończyków. W jaki więc sposób i dlaczego panna Thornton znalazła się wtedy na Borneo? A jeśli była świadkiem zgonu mojego ojca, to dlaczego nie zgłosiła tego faktu? Jego śmierć nigdy nie została potwierdzona. Uznano ją za „domniemaną” jak to określono oficjalnie. Czyli, że ona nie była jej świadkiem. Prawdę mówiąc, jeszcze jako młodzieniec skłonny do fantazjowania, wytworzyłem sobie obraz ojca, jako nowego Białego Radzy panującego nad zagubionymi w tajemniczych, niedostępnych górach plemionami łowców głów. Napisałem nawet do Ministerstwa Obrony prośbę o zbadanie losu ojca. Dostałem w odpowiedzi list zapraszający mnie jako gościa do jednej z baz RAF-u i upewniający z głębokim żalem, że nie istnieje żadne prawdopodobieństwo, aby ojciec mógł się uratować i przeżyć. Im więcej myślałem o tej sprawie, tym bardziej stawała się zagadkowa. Czy ojciec leciał sam? Czy były inne ofiary albo tacy, którzy przeżyli wypadek? Jeśli zginął lub umarł, musiał zostać pochowany i musi istnieć grób. Ale gdzie? A przede wszystkim, dlaczego panna Thornton szukała mnie przez blisko dwadzieścia lat? Jeśli była jedną z ostatnich ojcowskich miłości, to zupełnie nie w jego typie. Według opinii mojej matki, przez całe życie odpowiadały mu raczej barmanki. Obowiązek? Użyła tego słowa, mówiąc: „Spełniłam swój obowiązek, dostarczając ten list jego synowi”. To pasowało do jej charakteru. Jeśli kiedykolwiek widziałem osobę z poczuciem obowiązku, to była nią panna Thornton. Dlaczego w takim razie nie poświadczyla jego śmierci? Przecież to także było z pewnością jej obowiązkiem.

– Szlag by cię trafił, panno Thornton – warknąłem.

Wreszcie jakiś miłosierny mechanizm w moim mózgu przeciął strumień świadomości i zapadłem w sen.

Nazajutrz rano przystąpiłem do czytania listu. Napisano go ołówkiem na cienkim, lichym niebieskim papierze i w dodatku niezbyt wyraźnie. Nie było wątpliwości, że papier jest stary.

Świadczyły o tym pozaginane rogi, wystrzępione i pociemniałe brzegi. W lewym dolnym rogu widniała niewielka plama. Mając w pamięci parne, gorące Borneo założyłem, że to ślad po kropli potu.

Drogi George,

Byłem złym ojcem. Można obwiniać o to wojnę, ale duża część winy leży na pewno po mojej stronie. Obawiam się, że nie będę miał już możliwości naprawienia swoich błędów, których skutki dotknęły i ciebie. Może nawet nie byłbym w stanie dokonać tego w takim stopniu, w jakim bym pragnął. Ale o tym żaden z nas już się nie dowie. Myślę o tobie przez cały czas; właśnie teraz, w tej chwili, kiedy jestem zdolny myśleć, kiedy febra, gorączka i strach na chwilę ustąpiły. Musisz być już duży, prawie mężczyzna. Wydaje mi się, że niemal widzę jak wyglądasz. Jako dziecko byłeś bardzo podobny do mnie i chyba taki zostałeś. Mam jednak nadzieję, że jesteś lepszy. Pod każdym względem.

Nie zostawiam ci niczego prócz uczucia, oraz tego przesłania. Nie mogę ci nawet przekazać dobrego imienia, chociaż miałem je, przynajmniej tutaj, jeszcze całkiem niedawno. Chciałbym jednak, żebyś pamiętał o dwóch rzeczach. Pierwsza dotyczy twojej matki i mnie. Żadne z nas nie jest zbyt wiele warte i nigdy nie było. Powinienes o tym wiedzieć. Szkoda, że w ogóle się spotkaliśmy, bo lepiej by nam było, gdyby każde z nas związało się z kimś innym. Może bylibyśmy lepsi. Lecz stało się tak, jak się stało. Pogmatwaliśmy wszystkie swoje sprawy, jakby jedynym naszym celem było upokorzyć partnera i zepchnąć go pod każdym względem niżej. Jedyną rzeczą, która nam się udało, jesteś ty. Ale matka jest zawsze matką i ma się ją tylko jedną na świecie. Dlatego proszę cię, żebyś był dla niej dobry i troszczył się o nią. Znaczący dla niej więcej, niż mógłbyś sądzić.

Druga rzecz to pewna liczba, której znaczenie musisz wykryć sam, bez mojej pomocy. Miłosierdzie nie może mieć z tym nic wspólnego. Jeśli jednak ten list dotrze kiedykolwiek do ciebie, pamiętaj, że liczba ta może być bardzo ważna. Jest to liczba 397,5. Pilnuj troskliwie tej wiadomości, nie zapomnij lub nie zgub jej. Byłaby to niepowetowana strata.

Mam nadzieję, że czeka cię długie, szczęśliwe i pełne sukcesów życie. Bądź dwakroć lepszym człowiekiem niż ja kiedykolwiek byłem. Żegnaj.

Twój kochający ojciec.

Kończąc czytać miałem łzy w oczach i domyśliłem się, że ta plamka w rogu kartki nie pochodziła od potu. I jakkolwiek trudno wyobrazić sobie pannę Thornton płaczącą, to nie mogłem wątpić, że i ona była treścią tego listu mocno poruszona. Chyba wystarczająco świadczy o tym przechowywanie go przez całe lata. Aż do czasu kiedy mnie odnalazła, chociaż nic nie wskazywało na to, że kiedykolwiek to nastąpi. Ja również widywałem umierających. Pisali listy do rodziców czy żon, zgodnie ze zwykłym, wojskowym rytuałem, mającym im nieść ukojenie. I muszę się przyznać, że większości z nich nawet nie pamiętam. Nie mówiąc już o szukaniu kogoś z adresatów tych listów.

Wróciłem do listu ojca i przeczytałem go jeszcze raz. Nie mogłem uwolnić się od myśli o tych dwojgu. On, umierający w jakimś nędznym wilgotnym szałasie, trawiony gorączką, coraz częściej tracący przytomność; ona, notująca skrzętnie jego nieskładne wywody i układająca z nich tekst przesłania, jakie ojciec chciałby – jej zdaniem – przekazać synowi. Użyte w liście sformułowania noszą wyraźne i niewątpliwe ślady redakcji panny Thornton. Nie miałem trudności z wyobrażeniem sobie jak układa zdania odpowiednie dla nie-

winnego młodzieńca. Ojciec wyraził życzenie, aby list został doręczony; ona posłusznie spisała słowa i przyrzekała spełnić jego wolę.

Sądziła zapewne, że nie będzie z tym większych kłopotów. W Royal Air Force uzyska adres i prześle list pocztą lub też (przy jej charakterze!) doręczy osobiście. Nie mogła przecież wiedzieć, a wątpię czy i ojciec o tym wiedział, że dwa lata wcześniej wynieśliśmy się z Londynu, a nawet z Anglii. Otóż moja matka uległa pijackiemu urokowi niejakiego Jamesa Robertsa z miasta Cork i powędrowała za nim do Irlandii, mnie oczywiście zabierając ze sobą. Stamtąd pisałem do ojca kilka razy, ale żadnej odpowiedzi nie otrzymałem. Wątpliwe, czy matka napisała chociaż raz. Zawsze unikała rozmów na ten temat.

– Rozeszliśmy się – mawiała – i koniec.

Kiedy sobie podpiła, częstowała mnie historyjkami o jego okrucieństwie, braku zdolności przewidywania, zamiłowaniu do wyścigów konnych. Wyrażała przy tym głęboką niechęć do jego rodziny, piętnowała niewierność i kompletny brak charakteru. Ale stosunek matki do prawdy był, ogólnie mówiąc, dość elastyczny. W miarę jak dorastałem, coraz częściej przypominałem sobie ostrzeżenie pewnego starego magika: nie wierz niczemu, co słyszysz i tylko w połowie temu, co widzisz.

Niewykluczone, że pewnego dnia opowiedziałyby mi wreszcie prawdę o ojcu, bez tych ozdobników i etykietek, ale co do tego nie mam pewności. Była tak nieobliczalna, że trudno powiedzieć, czy w ogóle działała w sposób celowy, a co dopiero określić jej intencje. Właściwie była dla mnie na ogół dobra, ale nie byłem jej „słoneczkiem”. Tym stał się dla niej wyłącznie James Roberts. Jednak mimo zaślepienia Jamesem, umiała zdobyć się na działania praktyczne. Dowiedziawszy się – nie wiem zresztą w jaki sposób – o zaginięciu ojca i jego przypuszczalnej śmierci, nie pozwoliła rządowi Jego Królewskiej Mości zapomnieć ani na chwilę o jego, to znaczy rządu, zobowiązaniach wobec wdowy i sieroty.

Śmierć matki zbiegła się z moim wstąpieniem do wojska. Dwa dni przed moim odjazdem do Aldershot ona i Roberts, po wypiciu nadmiernej, jak zwykle, porcji Old Bushmills, wybrali się na wycieczkę. W pewnym momencie ich samochód zjechał z drogi i uderzył w drzewo. Zginęli oboje. Nikt postronny nie doznał obrażeń. Ich koniec był więc w miarę uczciwy – zaszkośli tylko sobie. W pewnym stopniu i mnie, ale nie na długo. Jednostka wojskowa wyraziła swoje współczucie, dając mi urlop okolicznościowy, zanim jeszcze stałem się żołnierzem. A kiedy włożyłem mundur, szybko poczułem się członkiem rodziny w stopniu większym niż kiedykolwiek przedtem. I długo jeszcze starałem się czerpać z tego otuchę.

Patrząc na list i myśląc o panie Thornton odkryłem zadziwiającą cechę biurokracji. Panna Thornton musiała nieźle dokuczyć urzędnikom RAF-u, szukając pomocy w odnalezieniu mnie, a RAF nie był w stanie jej pomóc. Ale kiedy przyszedł czas stawienia się do poboru, armia znalazła mnie natychmiast, chociaż byłem w Irlandii. Nie ma ucieczki, kiedy oni cię potrzebują; problemy zaczynają się dopiero, gdy ty ich potrzebujesz.

Postanowiłem, że po wyjściu ze szpitala udam się do Birmingham i przełknę porcję upokorzenia, którą panna Thornton niewątpliwie mnie poczęstuje. Ale uzyskam w końcu odpowiedź na moje pytania. Nie były one dla mnie jakoś szczególnie ważne; jednak intrygujące i, na ile znam siebie, nigdy bym się od nich nie uwolnił, zostawiając sprawę bez wyjaśnienia.

Tymczasem zjawiał się Woodcraft. Teczka, melonik, parasol, oficjalny wyraz twarzy. Na więcej bezpośredniości nie było go stać. Najczęściej wyglądał tak, jakby był zmartwiony lub w złym humorze. Niekiedy jednak, z widocznym wysiłkiem, udawało mu się przybrać wyraz twarzy, jaki miewać mogła surowa wiktoriańska dama w obecności lubianego, lecz krnąbrnego bratanka. Kiedy usiadł na krześle, nie tak dawno zajmowanym przez pannę Thornton, uderzyło mnie pewne podobieństwo tych dwóch postaci. Tyle że w panie Thornton wyczuwało się zdecydowanie więcej siły charakteru.

– Jak – ee – się domyślam, pańskim oczom nic już nie grozi, panie – mmm – Faxtennee.

– Tak mi powiedziano.

– To rzeczywiście dobra wiadomość – oznajmił, ściągając wargi.

Zastanowiła mnie taka reakcja, ale zaraz pomyślałem, że ten przeklęty wampir czeka pewno na odpowiedź. Więc dorzuciłem ostrożnie: – To nie jest jeszcze całkiem pewne.

– Ach tak? A ja rozumiałem...

– Zdarzają się – powiedziałem – opóźnione reakcje. To także mi powiedziano.

– Kiedy będzie pan miał pewnoś?

– To kwestia kilku dni – odpowiedziałem. Na wszelki wypadek postanowiłem jednak zmienić temat. – Czy z banku coś zrabowano, panie Woodcraft?

Zmarszczył brwi.

– Nie. Mieliśmy – eee – wielkie szczęście. Podręczne kasy były właśnie w trakcie opróżniania. Ci ludzie – mm – ci bandyci byli uzbrojeni, jak pan zapewne słyszał.

– Tak – odpowiedziałem. – Byli.

– W podręcznych kasach znajdowało się sporo pieniędzy.

– Tak – zgodziłem się. – Mogło być sporo. No, ale są tam na szczęście w dalszym ciągu!

Teraz twój ruch, pomyślałem. Spytajże mnie wreszcie, kiedy wrócę do pracy. A on chciał spytać. Po to właśnie tu przyszedł. Ale są pewne granice oficjalności nawet dla Woodcrafta. Zaczął grzebać w teczce i wyciągnął karton papierosów i butelkę whisky Bell's. Spojrzał na to wszystko z niesmakiem.

– Nasz – ee – personel urządził małą składkę. Prosimy, żeby to panu przekazać.

– Wspaniale. Proszę im podziękować ode mnie.

– Jest jeszcze trochę korespondencji. Kilka – eee – osób napisało do pana.

Wręczył mi niewielką paczkę listów ściągniętych gumową opaską i zatrasnął teczkę.

Milczał przez chwilę, szukając właściwych słów.

– Wszyscy – eee – oczywiście, oczekujemy – eee – pana powrotu.

– I ja również – odpowiedziałem i uśmiechnąłem się do niego obojętnie.

Okazało się jednak, że nie dość obojętnie.

– Wróci pan, oczywiście, na nowe stanowisko – powiedział.

Stary oszust! Wiedział, że muszę odpowiedzieć i czekał na to z wyrazem nikczemnego zadowolenia na twarzy. Zawahałem się, w popłochu zastanawiając się, co mam teraz powiedzieć.

– No, tak – rzekłem w końcu. – Jeśli nie będzie żadnych zaburzeń wzroku... Ciągłe jeszcze zdarzają mi się okresy podwójnego widzenia. Dopóki to nie minie, niewiele będzie ze mnie pożytku w pracy.

– Rozumiem. – Podniósł się niechętnie z krzesła. – Musi pan nas zawiadomić, jeśli pojawi się coś – eee – w czym moglibyśmy pomóc.

– Dziękuję.

Wreszcie poszedł. Pewnie podokuczać innym.

Zabrałem się do listów. Były ich dwa rodzaje. Londyńskie gazety wieczorne podały, w którym szpitalu mnie ulokowano, toteż większość listów z obszaru Londynu przychodziła do szpitala. Inne przesyłane były za pośrednictwem wydawców gazet albo na adres oddziału banku, jako że jego nazwa również pojawiła się w prasie. Ta ostatnia grupa listów trafiła, jak się wydaje, do oddziału centralnego banku i stamtąd wysłano ją do nas. Nie byłem specjalnie zdziwiony, że dwie przesyłki z tej grupy zawierały pieniądze. Już poprzednio znajdowałem banknoty jednofuntowe, a nawet pięciofuntowe powtykane w koperty i opatrzone komentarzem w rodzaju: „Życzę smacznego obiadu i łączę wyrazy uznania!”. Nadawcy zakładali, że urzędnika bankowego nie stać na dobry obiad. I mieli w znacznym

stopniu rację. Listy z pieniędzmi były z reguły anonimowe, co świadczyło o rozsądku nadawców, zwalniało bowiem z konieczności odpowiadania na nie i niejako zmuszało do zatrzymania pieniędzy, wykluczając możliwość ich odesłania.

Ale jeden z nowych listów zawierał trzysta funtów! O mało nie spadłem z łóżka. Już biorąc go do ręki wyczułem, że jest dość gruby. Po otwarciu znalazłem w nim trzydzieści banknotów dziesięciofuntowych zawiniętych w papier listowy, na którym widniał napis:

DOBRA ROBOTA! ŻYCZE SZCZĘŚCIA.

Zaskoczony, prawie zapomniałem o pozostałych listach. Przez kilka minut leżałem rozkoszując się uczuciem, jakie dawało przekładanie nowych dziesięciofuntowych banknotów z jednej ręki do drugiej, co jest, jak wiadomo grzesznym przejawem chciwości i skąpstwa. Próbowałem sobie wyobrazić siebie wkładającego do koperty trzysta funtów i wysyłającego go komuś absolutnie obcemu. Próba wypadła zdecydowanie negatywnie. Nie tylko dlatego, że nie mieściłem się w tej roli. Nie widziałem w niej kogokolwiek ze swych znajomych. Po prostu wątpię, czy ktoś z ówczesnych moich kolegów i przyjaciół miał zbędne trzysta funtów, nie mówiąc już o spełnieniu wymogów co do rozmiarów szczodrości. W końcu schowałem banknoty razem z uprzednio otrzymanymi, policzywszy je wprawdzie z fachową zręcznością. Trzysta trzydzieści dwa funty. Jak Boga kocham! Przeliczyłem je jeszcze raz, ledwo powstrzymując się od chichotu, z jakim robią to skąpcy na rysunkowych filmach dla dzieci. Gdyby Woodcraft podglądał mnie przez dziurkę od klucza – wcale nie takie to niemożliwe – i zobaczyć, z jaką gracją liczę banknoty, jutro rano postawiłby mnie w okienku bankowym.

Pozostały jeszcze trzy listy. Jakaś dama pisała, że gdyby złodzieje zostali skazani, to ja jestem tym, który powinien dać im solidne lanie. Wyraziła żal, że to niemożliwe. Ostatni list opatrzony był jakimś dziwnym znaczkiem. Otworzyłem go i oto powróciła sprawa mojego życia.

White Walls, Angels, St. Mary's, Jamajka.

Szanowny panie Faxtennee,

Nie sądzę, aby zetknął się Pan z moim nazwiskiem, ale ja pańskiego ojca znałem bardzo dobrze. (Zakładam, że to był pański ojciec, bo ma Pan te same imiona i nazwisko).

Dowiedziałem się z dostarczonego pocztą lotniczą „Times”, że odwalił Pan kawał dobrej roboty, łapiąc tego opryszka na gorącym uczynku. Mam w związku z tym dwie uwagi: Pański bank winien jest Panu (1) urlop rekonwalescencyjny oraz (2) prawdopodobnie nagrodę. Czy nie byłoby rozsądnie spędzić cały (1) na Jamajce i wydać tu część (2)? Może Pan zatrzymać się u mnie i nie kosztowałoby to Pana wiele. Zapewniam, że nasz klimat jest o wiele lepszy niż tam u was, zwłaszcza o tej porze roku.

Z drugiej strony wiem, że (a) banki bywają skąpe, a więc może nie być żadnej nagrody, oraz (b) jeśli nagrody nie będzie, to pensja pracownika banku nie wystarczy na urlop na Karaibach.

Otóż, jeśli bank nie zapłaci za podróż, to ja zapłacę (ale nie pierwszą klasą – tylko samolotem czarterowym!) i proszę nie zastanawiać się, i nie łamać sobie głowy śmiesznymi pytaniami w rodzaju „Jak mogę przyjąć taką propozycję od obcego?”. Ja może i jestem obcy dla Pana, ale nie Pan dla mnie. Pański ojciec bardzo często pokazywał mi Pana fotografię. Był z pana dumny i ta duma wydaje się teraz uzasadniona. Proszę mi wierzyć, będę szczęśliwy, jeśli spotkam chłopaka starego George'a Faxtennee. Przepraszam, że to takie nagłe. Napisałbym wiele lat wcześniej, gdybym miał pojęcie, gdzie Pan przebywa.

Jeśli spodoba się Panu pomysł tej wycieczki, proszę o wiadomość i jeszcze raz przepraszam.

Z poważaniem,
J.C.H. Horn.

– Chciałem tylko spytać, kiedy pan wraca do banku, panie Faxtennee?
– Obawiam się, że jeszcze nie teraz, panie Woodcraft. Okazuje się, że wskazany jest pewien okres rekonwalescencji.
– Ach, tak – mruknął z wyraźną niechęcią. – No cóż, jeśli lekarze nalegają...
– Nalegają. I to stanowczo.
– Rozumiem. A gdzie będzie można pana zastać, jeśli... eee...?
– Myślę, że na Jamajce.
– Na Jamajce?!
– Otrzymałem zaproszenie i chyba szkoda by go było nie przyjąć.
Woodcraft wiedział, że nie ma wyjścia. Wiedział też, że nie bardzo może prześladować bohatera.

Leżałem sobie na wznak, delektując się tą przyjemną, ale całkowicie zmyśloną rozmową, a jednocześnie analizowałem swoją sytuację finansową. Trzysta funtów i zaproszenie na Jamajkę w jednej paczce listów – jak tu nie mówić o zrządzeniach losu! Byłbym głupi, gdybym z tego nie skorzystał. Zwłaszcza teraz, kiedy mogę sobie na to pozwolić. Nawet gdybym miał ledwo związać koniec z końcem.

Zadzzwoniłem na pielęgniarkę, a gdy przyszła i zobaczyła radosny wyraz mojej twarzy, pokręciła głową.

– Jest pan już na tyle zdrowy, panie Faxtennee, żeby samemu zadbać o swoje sprawy – powiedziała.

Leżąc wygodnie z rękami pod głową uśmiechnąłem się do niej.

– Chciałem tylko prosić o parę informacji, siostró.

– Doskonale pan wie, że nie jestem żadną siostrą. Proszę się nie podlizywać.

– To tylko kwestia czasu. Za dwa tygodnie siostra, za sześć miesięcy mężatka.

Zaśmiała się.

– No dobrze, tylko szybciej, bo mam sporo pracy. Czego pan chce?

– Wydaje mi się, że widziałem tu kiedyś pielęgniarkę, która – sądząc po wyglądzie – mogła pochodzić z Karaibów.

– Możliwe. Jest u nas kilka takich.

– To niech pani ściągnie tu jedną z nich do mnie.

– Ja? Nic z tych rzeczy! Niech pan sam szuka szczęścia.

– Czyż pani powołaniem nie jest niesienie ulgi cierpiącym? Najlepiej gdyby była z Jamajki.

– Oho! Jesteśmy wymagający?

– I w potrzebie.

Niebawem zjawiała się pielęgniarka rodem z Jamajki.

– O co chodzi, chłoptasiu? – uśmiechnęła się szeroko.

– Może wie pani – spytałem – jak można łatwo i tanio dostać się na Jamajkę?

Okazało się, że doskonale zna ceny biletów z Anglii na Jamajkę. Ona sama oszczędzała na podróż do domu, żeby odwiedzić rodziców. Jeszcze trzydzieści funtów i będę w Kingston, powiedziała. Znała agentów organizujących rejsy czarterowe i wiedziała, których

należy unikać. Wiedziała, jak długo trwa przelot i jak długo zachowują ważność bilety poszczególnych rodzajów. Sam Thomas Cook nie byłby lepiej poinformowany.

Po jej odejściu zadzwoniłem do wskazanej przez nią agencji. Odezwiał się przyjemny, niski, matowy głos. „Jedno miejsce? Bez problemu, proszę pana. Jedną chwileczkę, proszę pana. Tak, jest rejs w najbliższy wtorek z Manchesteru”. Był nawet, jak się okazało, autokar do Manchesteru z kompletem pasażerów, wszyscy z towarzystwa ornitologicznego. „Przyjemny głos” zgodził się wciągnąć mnie na listę członków towarzystwa ze wsteczną datą (sześć miesięcy), co umożliwiło mi zabranie się tymże autokarem w gronie kolegów-ornitologów.

– Należność gotówką albo czekiem potwierdzonym – usłyszałem jeszcze.

Wróciłem szybko do pokoju, podpisałem czek, jeszcze raz sprawdziłem stan mojej kasy i, kierowany impulsem, włożyłem trzy dziesięciofuntowe banknoty do koperty zaadresowanej na szpital do pielęgniarzy z Jamajki. Dalsze dwa postanowiłem wysłać później z lotniska w Manchesterze.

W drodze do Manchesteru autokar mijał Birmingham. W porządku, pomyślałem, odwiedzę pannę Thornton po powrocie z Jamajki. A przedtem poślę jej ładną pocztówkę. Z trzema palmami.